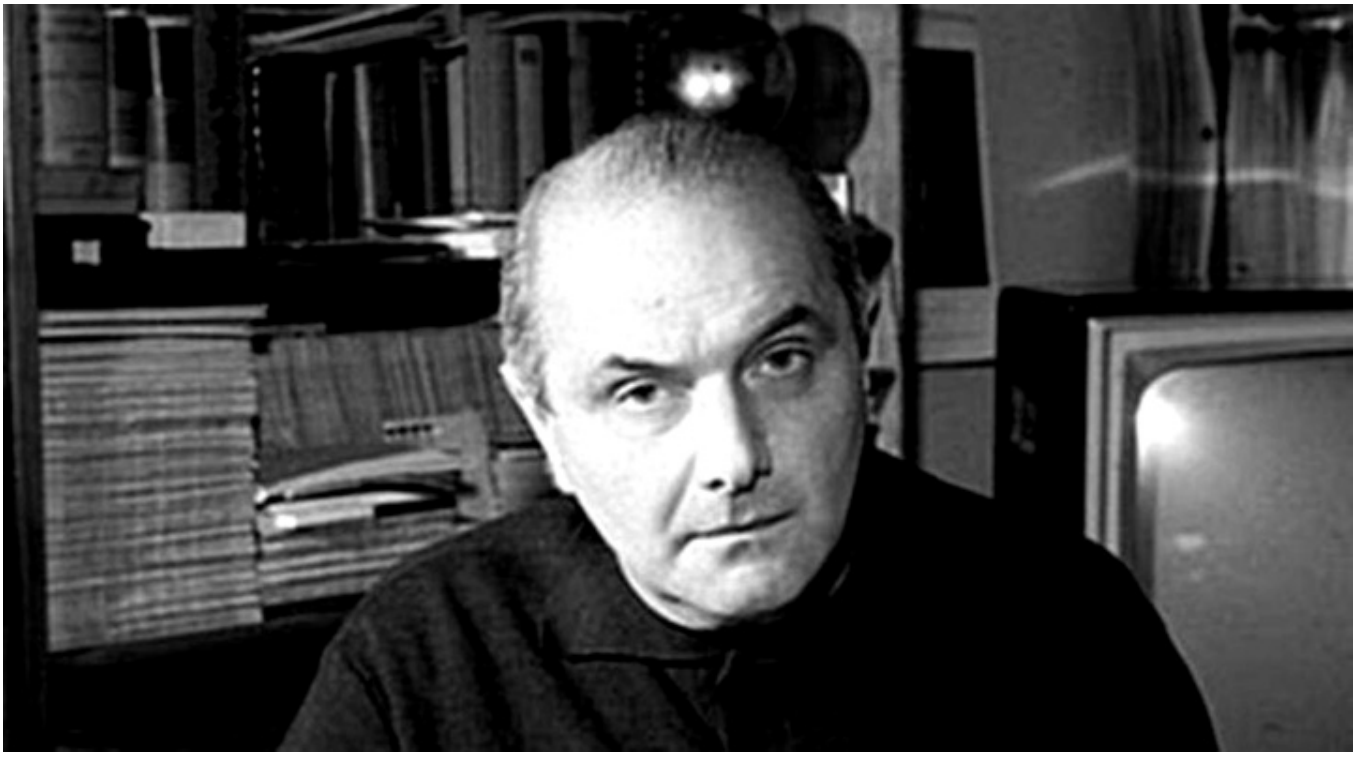
Hece z Lecem (1909-1966)



Stanisław Jerzy Lec

Florian Śmieja

W Maladze w 1975 roku poznałem lekarkę z Warszawy. Konwersacja zeszła na wspólnych znajomych. Wspomniałem

Leca i to, że po raz ostatni rozmawiałem z nim w 1966 roku. Telefonowałem wtedy do szpitala. „To do mnie pan telefonował. Lec leżał u mnie”, stwierdziła.

Miesięcznik „Kontynenty”, który redagowałem w Anglii zorganizował Lecowi w Londynie w 1963 roku wieczór autorski w sali Instytutu im. Gen. Wł. Sikorskiego. Publiczność dopisała. Pamiętam jak następnego dnia wędrowaliśmy razem po mieście, aby między innymi, kupić wygodne zamszowe buty. Parę lat później w Zakopanem wyjechawszy na Gubałówkę, niespodziewanie natknąłem się na odpoczywającego na trawie poetę. Opowiedział mi wtedy zabawną historię, jaka mu się zdarzyła. Kiedyś do jego stolika przysiadł się nieznany osobnik z poufałym odezwaniem: „My się znamy”. Kiedy Lec odpowiedział przeczącym ruchem głowy, nieznajomy wyjaśnił „Pracujemy od lat razem. Jestem pańskim cenzorem”. Ponoć po śmierci Leca pod jego poduszką znaleziono karteczkę z sentencją: „A to heca, nie ma Leca”.

„Myśli nieuczesane” ugruntowały pozycję Leca u czytelnika polskiego i rozniosły jego imię po całym świecie. Posypały się przekłady na ponad tuzin języków. W Niemczech jego aforyzmy zrobiły zawrotną karierę. Karl Dedecius, który je znakomicie przełożył, nie znalazł w Warszawie wiary, gdy mówił, że rozeszło się pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy. Dziś ta cyfra wygląda wprost niewiarygodnie: 40 wydań i 500 tysięcy.

„Myśli nieuczesane” tak zwana mała forma, to aforyzmy wzięte z życia, z sytuacji polskiej i z literatury. Umysł Leca, subtelny i wrażliwy na odcienie językowych możliwości, pozostawił nam tysiące „myśli” uskrzydlonych, skrzących się dowcipem, błyskających erudycją, frapujących paradoksami, bawiących skojarzeniami, a smagających tchórzy, hipokrytów i głupców. Do pasji musiał nieraz doprowadzać ludzi o ograniczonym poczuciu humoru waląc na odlew prawdami oczywistymi dla każdego, a których nie dało się żadnym paragrafem utrącić. Dla zwolenników ostrej cenzury, Lec był autorem bardzo niewygodnym. Tacy bowiem chcą artystę ubezwłasnowolnić, ograniczyć do roli muzykanta brząkającego na zamówienie. Ma on bawić i omamiać, lecz nie, broń Boże, niepokoić i zdzierać maski z durniów!

Politykom nadużywającym cierpliwości ludzkiej rzekł, że „Ci, którzy mają ideę w gębie, mają ją zazwyczaj i w pobliskim nosie” oraz, że „Czasem sztywna postawa jest wynikiem paraliżu”. Łaknącym poklasku odburknął: „Nie dziw się, że kto nie pachnie, lubi, by mu kadzono”. Donosicielom szczególnie często dostawało się od Leca: „Najlepiej podstawiają nogi karły, to ich strefa”.

Zauważyliśmy już na wstępie, że aforyzmy Leca powstawały z refleksji nad życiem, z jego absurdami i ironią, z zadumy nad człowiekiem i jego sytuacją w świecie i u innych. W naszej

emigracyjnej sytuacji nie bez znaczenia były takie powiedzenia jak: „Kto nie chce być zaszufladkowany, niech gotuje swoją trumnę”. A wskazanie: „Gdyby niejeden wypuścił ster z ręki, mógłby się puknąć w czoło”, zdaje się być stworzone dla dożywotnich prezesów pod każdą szerokością geograficzną. U nas tym bardziej nie straciła na wadze bystra obserwacja: „I wygasłe kratery jeszcze zieją. Zawiścią”. Albo i takie spostrzeżenie: „Nie każdy pasterz pędzi swe owieczki, by się pasły na wyżynach ducha”. Nie trudno też zgadnąć, że poeta pił do różnych naszych Baranowic mówiąc: „Prowincja umysłowa – usiłowanie myślenia z dala od mózgu”.

Nie wiedząc nic o wydanym w Argentynie po hiszpańsku tomie „Myśli nieuczesanych”, dokonałem własnego wyboru i przekładu. Kolumnę pt. „Polonesa no brillante” wydrukowałem w miesięczniku „Estafeta Literaria” (Madryt, 2.7.1966) a tomik zatytułowany „Pensamientos desmelenados” nakładem Universidad Autónoma de México ukazał się w roku 1985. Czerpały z niego następnie pisma meksykańskie i kolumbijskie.

I tak Lec, który miał ambicję być poetą lirycznym (skarżył się, gdy liryki, które mi dał do druku umieściłem na ostatniej stronie naszego pisma), a był satyrykiem w czasach mało sprzyjających krytycznemu spojrzeniu, pod koniec życia uznany został przez świat za niezrównanego mistrza małej formy, za znakomitego twórcę aforyzmów, które weszły do skarbca literatury i choć

gorzka kropla piołunu zawarta jest w niejednym, na długo pozostaną wśród ważnych porzekadeł, bo nic nie wskazuje na to, by ludzie i świat mieli się wnet drastycznie zmienić.

Tadeusz Jaworski. Filmowa wędrówka przez życie.



Tadeusz Jaworski (1926-2017) w swoim domu w Toronto w 2011 r., fot. arch. Grzegorza Królikiewicza.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Tadeusza Jaworskiego poznałam, kiedy opracowywałam materiał o jego żonie, Tamarze Jaworskiej dla „Listu oceanicznego" – dodatku kulturalnego „Gazety" w Toronto, w 2007 r. Pomagał mi wtedy usystematyzować wiedzę na temat wystaw słynnej artystki tworzącej gobeliny. Ponownie zgłosiłam się do niego po śmierci Tamary Jaworskiej w 2015 roku, ponieważ chciałam pokazać jej twórczość w magazynie internetowym Culture Avenue. Tadeusz Jaworski pomógł mi uzupełnić wiadomości. Pisał mi też, jak bardzo brakuje mu żony i jak za nią tęskni. Zobaczyłam wtedy w

nim nie tylko artystę czy słynnego reżysera, ale głębokiego i wrażliwego człowieka, który został sam i któremu samotność bardzo doskwiera. Starałam się ciepło mu odpisywać i wspierać. Widziałam, że potrzebuje rozmowy. Nawiązał się wtedy między nami serdeczny kontakt.

Gdy ukazał się na Culture Avenue artykuł o Tamarze Jaworskiej „W magicznym świecie gobelinów", zapytałam, czy może i on chciałby mi udzielić wywiadu i opowiedzieć o swoich dokonaniach. Zgodził się, wyglądało nawet, że bardzo się ucieszył. Powiedział, że z reguły nie rozmawia z dziennikarzami, bo dziennikarze nie słuchają swojego rozmówcy i piszą, co sami uważają za stosowne, popełniając przy tym błędy. Ale widzi, że ja jestem skrupulatna, biorę sobie do serca wszystkie uwagi i dobrze mu się ze mną współpracowało.

Długo przygotowywałam się do wywiadu, czytałam wszystko, co było dla mnie dostępne. Ale przede wszystkim obejrzałam jego filmy dokumentalne z różnych lat i spektakle Teatru Telewizji z lat 60,, które miało w swoim archiwum Muzeum Kinematografii w Łodzi. Byłam wtedy w Łodzi, opiekowałam się chorą mamą i nie było dla mnie proste, żeby znaleźć czas na wielogodzinną projekcję. Mobilizowała mnie wtedy Kika Misztela, archiwistka i promotorka Tadeusza Jaworskiego, dużo mi o nim opowiadała i pomagała nawiązać kontakty.

Przygotowałam dwadzieścia siedem przekrojowych pytań, dotyczących zarówno poszczególnych filmów, stanowiących kolejne etapy w twórczości Tadeusza Jaworskiego, jak i różnych okresów w jego życiu. Pytałam o podsumowanie życiowej drogi i wydarzeń z perspektywy lat, o kondycję człowieka XX wieku, jego zachowania i etykę, o ludzkie wybory wobec zagrożenia własnego istnienia i utraty człowieczeństwa, o różnice pomiędzy światem „cywilizowanym" a „prymitywnym", na podstawie doświadczeń związanych z pracą filmową w Afryce i Azji w latach 50. i 60. Pytałam też o kontakty ze znanymi osobami, ludźmi kultury, sztuki, polityki, koronowanymi głowami czy wodzami plemion afrykańskich, a także tymi zupełnie nieznanymi, a niezwykłymi, przywracającymi wiarę w człowieka. Tadeusz Jaworski w swoim długim, aktywnym i bogatym życiu, poznał ich przecież bardzo wielu.

Zdawałam sobie sprawę, że odpowiadanie nie będzie proste, wymaga selekcji i syntezy wydarzeń z własnego życia. Ale, że reżyser z tak dużym zaangażowaniem i skrupulatnością podejmie wyzwanie oraz, że pisanie odpowiedzi będzie dla niego motywacją, żeby walczyć o każdy dzień swojego życia, tego się nie spodziewałam.

Reżyser przez wiele lat prowadził dziennik, notował to, co go zafrapowało, swoje przemyślenia, fakty, miejsca, spotkania. Kiedy był w podróży pisał długie listy do żony Tamary. Jak widzę,

po otrzymanym potem materiale notatki pisane na bieżąco, były bardzo pomocne, aby usystematyzować wspomnienia. Były punktem wyjścia do życiowych rozważań. Tadeusz Jaworski uprzedzał mnie, że pisze „barokowo”, że rozbudowuje dygresje od dygresji, daje obszerne komentarze, barwne opisy, mnóstwo detali, w związku z tym pisanie odpowiedzi będzie długie i żmudne. Zdawał mi też na bieżąco relację z tego co robi, z kłopotów z komputerem i ze zdrowiem. I tak to trwało, trwało, trwało….

> Droga Pani Joanno – pisał do mnie w jednym z e-maili – proszę się nie gniewać, że do tej pory nie odpowiedziałem na Pani *interview*. Codziennie od czasu, kiedy otrzymałem Pani pytania, siedzę po kilka godzin dziennie i próbuję odpowiadać. Nie będą to odpowiedzi na zasadzie „ping ponga”, ale jak uprzedzałem, jestem „barokowiec”, więc na dzień dzisiejszy napisałem 140 stron komputerowych. Piszę o rzeczach sprzed pół wieku, dlatego korzystam z moich notatek, jeśli chodzi o miejsca czy ludzi, resztę muszę sobie na tej podstawie przypomnieć. Używam starą nomenklaturę miast i krajów, będzie więc potrzeba je zaktualizować. np. Złote Wybrzeże to Ghana itd.

> Droga Pani Joasiu – pisał w innym momencie – już dochodzę

do spotkań z ludźmi, takimi jak Bertold Brecht. Będąc przez 65 lat reżyserem, mając za sobą dość pokaźną ilość filmów z różnych gatunków, czyli z racji mojej pracy filmowej, miałem do czynienia z masą ludzi wielkiego kalibru, będących znanymi w różnych dziedzinach. Większość z nich jest już na łonie Abrahama: mój przyjaciel prof. Leszek Kołakowski, Ludwig Alfred Windisch-Graetz, książę austriacki pochodzący z rodziny Habsburgów, Olof Palme, Herbert Marcuse, Saul K. Padover, Tadzio Przypkowski z Jędrzejowa, potomek polskich arian i ostatni polski Sarmata czy mój przyjaciel Marian Brandys. Są też Afrykanie tacy jak król Busoga Uganda Nadiope I, Léopold Sédar Senghor, poeta i prezydent Senegalu – piękna postać, Jomo Kenyatta z Kenii, Julius Nyerere z Tanzanii, Ahmadu Bello, Sardauna of Sokoto, premier Nigerii, nie mówiąc już o Staszku Sapiesze i jego wspaniałej żonie Didi Sapieha. Mam też w zanadrzu kilka typowo afrykańskich „przygód", jak Masajowie czy Fuzzy Wuzzy.

Wśród ciekawych osób ubiegłego stulecia – pisał dalej – jest też student Bernard-Henri Lévy (późniejszy wielki francuski filozof, przyp. red.) i młodzi filozofowie z Paryża, którzy zorganizowali rewoltę w 1968 r., jest jeden z największych filozofów francuskich prof. Raymond Aron. Mam ich wielu na wokandzie. Jutro właśnie się za nich zabieram. Spotkania i rozmowy z nimi są unikalne, ponieważ nigdzie i nigdy nie

> były publikowane. A te postacie są już historią. Będzie tego, sądzę, ok. 200 stron. Zostawiam Pani decyzję, kogo Pani wybierze. Zdaję sobie sprawę z tego, że mój język polski jest archaiczny i wymaga poprawek. Ale w końcu to nie ja jestem pisarzem, tylko Pani, a ja nigdy takich ambicji nie miałem. Łączę serdeczności, Tadeusz.



Tadeusz Jaworski w Łodzi w 2012 r., fot. arch. Tadeusza Jaworskiego.

Wielokrotnie reżyser żalił się na problemy z komputerem, że myszka mu nie działa, że to co napisze gdzieś znika, że komputer się zawiesza. Bardzo to go frustrowało, tak jakby bał się, że zawodna technika kradnie jego cenny czas i wysiłek:

> Z komputerem mam dwa światy. Gdybym miał 6 lat to pisałbym na tej maszynie bardzo dobrze. Ale mam więcej. Nacisnę jakiś klawisz i nagle coś się zmienia, font, wielkość czcionki…
>
> Jestem zaawansowany w odpowiedziach na Pani pytania, niemniej jednak jest jeszcze dużo do zrobienia. Ach ten barok!

Mijały tygodnie, a ja dostawałam kolejne informacje na temat powstającego tekstu:

> Droga Pani Joanno, próbuję pisać mój elaborat biograficzny. Ale nie umiem pisać „tak” albo „nie”.
>
> Przypomniałem coś sobie. Zrobiłem kiedyś film „Zegarmistrz” na Międzynarodowe Targi w Montrealu bodajże w 1967 r. Temat – największe problemy jakie stoją przed światem. Warunek – film ma trwać 54 sekundy, ani mniej ani więcej. Na kilka tysięcy zgłoszeń z całego świata mój „Zegarmistrz” znalazł się w pierwszej setce wyróżnionych. Było to w czasie, kiedy bomba atomowa była straszakiem całego świata. Więc i ja na to się złapałem.

> Zaułek w mieście, *dead end* z każdej strony, bez wyjścia. Zamknięty sklep zegarmistrza. Drzwi zabite deskami. Wewnątrz – na samych zbliżeniach – siedzi zegarmistrz mający przed sobą na stole wśród zegarowych rupieci dużą „cebulę", którą próbuje naprawić. Znakomita twarz aktora Tadeusza Byrskiego, luminarza polskiego teatru i radia. Ręka dokręca mini śrubkę i zegar cebula zaczyna „tykać". Następne ujęcia to wybuch bomby atomowej i grzyb.
>
> Jednak to Czesi zdobyli pierwszą nagrodę. Trzy akwaria z rybami – duże ryby zjadają średnie, a średnie małe!!! Świetny, symboliczny pomysł. I nie na temat bomby atomowej. Czesi nie poszli na łatwiznę.

W innej korespondencji uczulał mnie, na temat błędów, które pojawiały się w jego biografii:

> Wielokrotnie zauważyłem mnóstwo błędów w moim życiorysie publikowanym tu i ówdzie, łącznie z publikacją Muzeum Kinematografii. To tak jak z moim przyjacielem Christopherem Plummerem. Jak pierwszy raz go spotkałem, był starszy ode mnie o 2 lata. Kiedy kręciłem „Proces Jezusa", miał tyle samo lat, co ja, a więc 1926 rocznik. Od tego czasu co roku jest młodszy w informacjach biograficznych.

> Postaram się napisać całość w możliwie krótkim czasie, ale psiakość ten „barok”. Oczywiście, z tego, co napiszę, będzie Pani mogła wykroić to, co uzna za właściwe.
>
> Abrazo!
>
> Łączę serdeczności, Tadeusz.



Tadeusz i Tamara Jaworscy w Toronto, fot. arch. Tadeusza Jaworskiego.

Reżyser wtajemniczał mnie też w swoje problemy ze zdrowiem, żalił się na różnego rodzaju badania i dyskomfort z tym

związany. Nie chciałam więc go męczyć ponaglaniem i dopominaniem się odpowiedzi. Proponowałam, żeby mi wysyłał to co ma, ale on twierdził, że wciąż uzupełnia poprzednie części. Kika Misztela mnie prosiła, żebym go mobilizowała i podkreślała jak bardzo liczę na jego wspomnienia, bo to mu daje motywację do walki z chorobą i poczucie, że jego życie nie zniknie bez śladu.

Gdy odszedł w lipcu 2017 roku, zrobiło mi się smutno. Zabrakło mi tej korespondencji, poczułam swego rodzaju pustkę, nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Wtedy otrzymałam materiał, nad którym dla mnie tak długo pracował – jeden plik komputerowy zatytułowany „Wywiad Joanna Sokołowska" – 760 stron i drugi p.t. „Reszta wstawek dla Joanny Sokołowskiej – portrety i inne" – 56 stron uzupełnień. Byłam w szoku. Zaczęłam czytać i nie mogłam się oderwać. Tadeusz Jaworski pisał filmowo, raz „kamera" się oddalała, raz zbliżała. Tyle szczegółów obyczajowych, tyle ciekawych osób opisanych, tyle refleksji związanych z jego filmami. Poczułam, jakbym dostała niebywały prezent. W środku w tekście są do mnie listy – pani Joanno, jeśli miałaby pani wątpliwości, a mnie już nie będzie to proszę zajrzeć do artykułu (i tu pełna bibliografia), albo: proszę sprawdzić tę nazwę, ja ją pamiętam w formie sprzed 50 lat itd.

Wiem, że opracowanie takiej ilości materiału wymaga ogromnej pracy, selekcji faktów, wyczyszczenia powtórzeń, poprawienia

dziesiątek literówek, często napisania tekstu od nowa. Zdaję sobie sprawę z tego, że 90-letni reżyser był ciężko chory, trudno było mu się skupić, mógł też mieć niesprawne palce i nie trafiać w klawisze. Ale to nic. Ważne, żeby zachować intencje autora, fakty z jego życia i unikalny styl jego języka. Czuję się wyróżniona, że Tadeusz Jaworski mi zaufał i dołączam do Kiki Miszteli, która tak dzielnie walczy od lat o przywrócenie pamięci obydwojga Jaworskich.

O Tamarze i Tadeuszu Jaworskich na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/w-magicznym-swiecie-gobelinow/

http://www.cultureave.com/dostrzec-piekno-czlowieka--tadeusz-jaworski-1926-2017/

http://www.cultureave.com/o-filmie-wieczny-tulacz--grzegorza-krolikiewicza/

Nowy Rok 2018



Wspaniałego, twórczego, radosnego i pełnego zdrowia Nowego Roku 2018 czytelnikom magazynu Culture Avenue

życzy redakcja.

Przerwa noworoczna trwać będzie do 5 stycznia.

Magazyn ukazuje się codziennie od poniedziałku do piątku z wyjątkiem świąt i ustawowych wolnych dni w Polsce.

Planowane w nowym roku serie:

1. W pierwszy poniedziałek miesiąca – niezwykła opowieść o życiu, trudnych wyborach, twórczości, podróżach do Afryki i Azji w latach 50-tych, kulturach ludów „prymitywnych” i spotkaniach z wybitnymi ludźmi minionego wieku, czyli wspomnienia reżysera z Kanady, Tadeusza Jaworskiego, zmarłego w 2017 roku.

2. Wtorki – wspomnienia, opowieści, tłumaczenia i poezje prof. Floriana Śmieji z Kanady, nestora poetów emigracyjnych, współzałożyciela, powstałej po II wojnie światowej słynnej londyńskiej grupy poetyckiej „Kontynenty”, profesora iberystyki, wieloletniego wykładowcy na uniwersytetach w Londynie i London (Ontario), doktora honoris causa Uniwersytetu we Wrocławiu, odznaczonego Krzyżem Komandorskim Orderu Izabeli Katolickiej przez króla Hiszpanii Filipa VI.

3. Środy – wystawy prac emigracyjnych artystów.

W pierwszą środę miesiąca – felieton Katarzyny Szrodt z Montrealu, która obroniła doktorat na Uniwersytecie Warszawskim z twórczości polskich artystów w Kanadzie, a teraz zajmuje się promocją polskiej sztuki w kanadyjskim środowisku artystycznym.

4. Drugi czwartek miesiąca – wspomnienia wybitnego polskiego iberysty Zygmunta Wojskiego z podróży do Hiszpanii, Portugalii i krajów Ameryki Łacińskiej. Autor przez szereg lat wykładał w Madrycie, Wenezueli i na Kubie, prowadził badania lingwistyczne w wielu krajach latynoamerykańskich i dzieli się z czytelnikami Culture Avenue swoimi kulturowymi obserwacjami.

5. Piątki – wywiady.

Na Culture Avenue pojawią się też artykuły na temat niezwykłej wystawy poświęconej artystom, którzy przeszli szlak bojowy z generałem Władysławem Andersem, przygotowanej przez prof. Jana Wiktora Sienkiewicza z Uniwersytetu w Toruniu, artykuły autorów z Australii, Republiki Południowej Afryki, Francji, Wielkiej Brytanii, Norwegii, Litwy, Kanady i Stanów Zjednoczonych, pokazujące sylwetki niezwykłych, twórczych Polaków, mieszkających w różnych stronach świata.

Przygotowywana jest rozmowa z wybitnym filmoznawcą na temat obecnego filmu polskiego i odbioru polskiego kina w innych krajach. Będą też artykuły z historii kultury i obyczajów, pojawi się seria – rody polskie.

Zapraszamy do odwiedzania magazynu Culture Avenue w Nowym Roku 2018.

Całe życie byliśmy zakochani



Marta Eggerth w swoim domu w Nowym Jorku, 2005 r., fot. New York Times.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Wspomnienie o Marcie Eggerth, żonie Jana Kiepury, zmarłej 26 grudnia 2013 roku w wieku 101 lat.

Rok 2002, czyli stulecie urodzin Jana Kiepury, na całym świecie obchodzony był bardzo uroczyście. 16 maja w dniu urodzin Jana Kiepury odbyła się wielka gala w „Theater an der Wien" z udziałem Marty Eggerth i Marcela Pravego, wieloletniego sekretarza Jana Kiepury. Obydwoje dla naszego wielkiego śpiewaka nauczyli się języka polskiego. – Słuchając obecnie śpiewu Marty Eggerth i jej wypowiedzi – powiedziała,

uczestnicząca w tym wydarzeniu Maria Fołtyn – pomyślałam sobie, jak wielkim szczęściem został obdarzony Kiepura, że znalazł w swoim życiu tak wspaniałą – zawodowo i prywatnie – partnerkę. Marta jest prawdziwą wielką damą. I nie wiem, które z nich trzeba uznać za większego artystę – czy Jana Kiepurę, czy Martę Eggerth?

Podobno po premierze filmu „Czar Cyganerii" z 1937 roku w Berlinie, do garderoby przyszedł Hermann Göring, żeby złożyć gratulacje. Kiedy pochylił się, żeby panią Martę pocałować w rękę, zobaczył, że ta ma pomalowane na czerwono paznokcie. – Niemiecka kobieta nie maluje tak rąk – powiedział. Na to Kiepura – ona nie jest żadną niemiecką kobietą. Ona jest moją żoną.

Marta Eggerth poznała Jana Kiepurę, gdy miała 14 lat. Była córką znanej śpiewaczki i sama już występowała na scenie. Debiutowała w wieku 11 lat w partii Olimpii w *Opowieściach Hoffmana* Uważano ją za cudowne dziecko. W operetkach pisano partie specjalnie dla niej. Pewnego dnia do Budapesztu na gościnne występy przyjechał znany już wówczas młody tenor, Jan Kiepura…

> Wiedeńska opera prosi o stały *engagment* (po) 300 dolarów za występ, dając mieszkanie w pałacu cesarzy Austrii, gdzie

mieszkają najznakomitsi artyści tutejsi – pisał wówczas Kiepura do rodziny… – Londyn przysłał depeszę, prosząc o występy. Mario Puccini, syn kompozytora, jest moim wielkim przyjacielem, razem z naczelnym dyrektorem Ricordiego napisali do Toscaniniego projektując zaangażowanie mnie do śpiewania premiery wznowienia Toski i Manon Pucciniego w La Scali.

…Pisma piszą, że ja już nie jestem drugim Caruso, a pierwszym Kiepurą.



Śpiewak był otoczony mitem, emanował z niego wielki urok. Marta zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Potem, gdy już dorosła, przeniosła się do Wiednia. Była niezwykle utalentowana, odnosiła sukcesy zarówno na scenie operowej, jak i w filmie. Na ekranie debiutowała w 1929 roku. Zagrała w kilkunastu filmach muzycznych. Z Janem Kiepurą spotkali się ponownie w Berlinie na planie filmu „Dla Ciebie śpiewam" (1934 r.) Film miał trzy wersje językowe, niemiecką, angielską, francuską. W wersji niemieckiej i angielskiej występowała Marta Eggerth, w wersji francuskiej Danielle Darieux. Wyglądało na to, że Kiepura był bardziej zainteresowany aktorką francuską, niż Martą, która na planie filmowym była pod opieką swojej mamy. Jan Kiepura jednak zwrócił na nią uwagę i był zadowolony (jak potem się przyznał), że Marta była w towarzystwie mamy, a nie innego mężczyzny. Kiepura miał wtedy 32 lata, a Marta 22. Dwa lata później w Polsce, w Katowicach odbył się ich ślub. W 1938 roku para śpiewaków wyemigrowała przez Paryż do Nowego Jorku. W latach 1944-1946 razem śpiewali na Broadway'u w „Wesołej wdówce" Lehara. Spektakl odniósł niebywały sukces, grano go przez 3 lata.

Po zakończeniu wojny pojawiali się przed kamerą sporadycznie. Po raz ostatni wystąpili razem w filmie „Kraina uśmiechu" z 1952 roku, wyprodukowanym w Berlinie Zachodnim. Marta Eggerth była zawsze przy nim, aż do jego nagłej śmierci w 1966 roku. Wszyscy, którzy pamiętają ich obydwoje twierdzą, że byli

wspaniałą parą zarówno w życiu, jak i na scenie.



Marta Eggerth i Marcel Pravy



Marta Eggerth przy portretcie Jana Kiepury.

***

Niedzielne popołudnie 6 października 2002. W Nowym Jorku piękna słoneczna pogoda. Telefon.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Czy rozmawiam z Panią Martą Eggerth? – Przemiły, ciepły głos w słuchawce odpowiada:

Marta Eggerth: O tak, czekałam na pani telefon.

JSG: Jak pani odbiera te niezwykle uroczyste obchody Roku Jana Kiepury na całym świecie w Wiedniu, czyli w miejscu z którym

był szczególnie związany, gdzie zaczęła się jego wielka kariera, ale też i w Los Angeles, Chicago, Toronto, Australi?

ME: Jestem bardzo szczęśliwa, to dla mnie duże przeżycie. Niestety mogłam być tylko w Wiedniu. Bardzo jestem wdzięczna maestro Rozbickiemu, że przygotowuje tak uroczysty koncert w Toronto. Bardzo lubię Toronto. Bardzo lubię Kanadę.

JSG: A jak ocenia Pani obchody w Polsce?

ME: Niestety, nie mogłam być w Polsce, ale byłam tam całym sercem. Mój mąż był bardzo związany z Polską. Nigdy nie zapomniał skąd pochodzi. Przez całe życie pomagał, wysyłał do kraju pieniądze. Był bardzo dobry dla Polaków, bezinteresowny. „Chłopak z Sosnowca", jak sam o sobie mówił.

JSG: Polacy też zawsze byli dumni ze swojego rodaka. Pogrzeb Jana Kiepury na Powązkach w Warszawie stał się wielką patriotyczną manifestacją.

ME: Cieszę się, że tak go wszyscy pamiętają.

JSG: Pani jest Węgierką, a tak dobrze mówi Pani po polsku. Czy czuje się pani też w jakimś stopniu Polką?

ME: O, tak, on był Polakiem, więc ja też jestem trochę Polką. Na

początku mówiłam do mojego męża po angielsku i po niemiecku. A on do mnie tylko po polsku. Ja płakałam, złościłam się, mówiłam, że nic nie rozumiem, że mi trudno. A on mi powiedział, że jestem jego żoną, więc muszę znać język polski.

JSG: My Polacy bardzo odczuwamy Pani polskość. Dla nas jest Pani naszą rodaczką.

ME: Ja wiem, ja to czuję. Polak – Węgier, dwa bratanki…

JSG: Spotkałam panią na Festiwalu Muzyki w Łańcucie. Był maj, piękna, słoneczna pogoda, a pani miała swój wspaniały wieczór wspomnień w Sali Balowej Łańcuckiego Zamku.

ME: Pani tam była? Bardzo piękne miejsce, piękny pałac.

JSG: Pisałam pracę na temat artystycznych dziejów tej magnackiej rezydencji. Zbierając materiały trafiłam na ślady występów Jana Kiepury na łańcuckiej scenie, za czasów ostatniego ordynata Alfreda Potockiego. Brat Alfreda, Jerzy Potocki był przez szereg lat ambasadorem Polski w USA. Jego żona, Peruwianka, też dla niego nauczyła się języka polskiego.

ME: Och tak, znaliśmy ich. Mój mąż wiele razy występował w ambasadzie.

JSG: Jak Pani wspomina swojego męża?

ME: Był najlepszy na świecie. Całe życie byliśmy zakochani. Był czuły, troskliwy, nie było lepszego męża, ani człowieka. Całe moje życie, to właśnie mój mąż. Teraz młodzież tak szybko tyle nie osiąga. On miał 24 lata i już grał główną rolę w "Turandocie".

JSG: Państwa syn też jest artystą, tylko że pianistą.

ME: Marianowi, który niedawno nagrał płytę z utworami Chopina, zaproponowali występ. Ale on jest taki skromny. Nie zgodził się. Muszę przyznać, że mam najlepsze dzieci na świecie.

JSG: Czy był w Pani życiu moment szczególnie ważny, który Pani wyjątkowo wspomina?

ME: Nic takiego szczególnego w tej chwili nie przychodzi mi do głowy. było tyle rzeczy. Byliśmy bardzo romantyczną parą od początku do końca. Jedno co mogę powiedzieć o moim życiu, że było w nim bardzo dużo radości, bardzo dużo śmiechu, ale też i bardzo dużo łez.

Galeria



Marta Eggerth i Jan Kiepura



Marta Eggerth



Marta Eggerth



Marta Eggerth

Ja jestem Jan Kiepura



Jan Kiepura śpiewający dla tłumów, fot. sosnowiec.naszemiasto.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Któż nie zna słynnego śpiewaka? Do tej pory żyje jego mit, jego legenda i jego głos zachowany na starych płytach. Głos, który słyszało się wszędzie tam, gdzie pojawił się wielki tenor. Niezwykle barwnie wyglądały jego występy solowe na dworcu, w poczekalni, na ulicy. Śpiewał z balkonów hoteli, w których się zatrzymywał i z dachów samochodów, którymi akurat jechał. Elity artystyczne ze zgrozą patrzyły na popisy Kiepury, na jego kokieterię i chęć zaskarbienia sobie przywileju bycia tym jedynym najznakomitszym, którego kochają tłumy. Polemizowano ze sposobem bycia artysty, jako kontrargumentu używając funkcji sztuki, jej mistycznego wymiaru i elitarnego charakteru. Nie zmieniało to jednak faktu, że przyjazd Kiepury był

zapowiedzią wielkiego *show*, a jego pobyty w kurortach nie były anonimowe, nawet jeśli przebywał w nich prywatnie.

Podczas jednego takiego pobytu na Helu, Kiepura pewny swojej popularności zatrzymał luksusowo wyglądający samochód z kierowcą i poprosił o podwiezienie.

– Ja jestem Jan Kiepura – przedstawił się, trochę dla porządku, trochę z kokieterii.

– Proszę bardzo, jest miejsce obok kierowcy. Znamy pana i cenimy – odpowiedział siedzący z tyłu pasażer po cywilnemu.

– Jestem Józef Piłsudski.

Kiepura nie rozpoznał jadącego, przyjął więc to jako żart z niego. Przecież Piłsudski to Belweder, a nie Hel. Po chwili więc, odezwał się z przekąsem.

– Ale ja jestem ten prawdziwy Jan Kiepura. Na to Piłsudski:

– Bardzo mi miło, ja również jestem ten prawdziwy Józef Piłsudski.

Tu Kiepura poczuł się już bardzo urażony. Uznał to za jawną kpinę, wysiadł z samochodu i nawet nie podziękował. Zdarzenie

to przypomniał w dniu pogrzebu Kiepury adiutant Piłsudskiego. Podobno artysta do końca życia nie wiedział, że wtedy na Helu naprawdę wiózł go sam marszałek.



Jan Kiepura, fot. East News

Sława i popularność towarzyszyły Kiepurze przez całe życie. Korespondencja z najbliższymi pozwala zrozumieć, dlaczego z takim uporem toczył walkę o sukces i powodzenie, dlaczego tak bardzo marzyły mu się luksusowe hotele oraz chęć olśnienia rodziców sekretarzami, mercedesem, apartamentami i perspektywą zobaczenia papieża.

Był synem piekarza. Razem z młodszym o dwa lata bratem Władysławem dorastali w Sosnowcu, chodzili do tego samego gimnazjum i grali w piłkę nożną w klubie Victoria. Kiedy w 1919 r. wybuchło powstanie śląskie, obydwaj chwycili za broń. Piętnastoletni zaledwie Władek podczas jednej z potyczek z Niemcami został zraniony granatem i Janek na własnych plecach wyniósł go z miejsca walki. Wszystko jednak skończyło się dobrze, bo jesienią młodzi Kiepurowie wrócili do szkoły, by kontynuować naukę.

Ojciec nakłaniał synów do zdobycia zawodów prawniczych, ale obydwaj wybrali drogę artystyczną. Jan Kiepura rozpoczął wprawdzie studia na wydziale prawa Uniwersytetu Warszawskiego, ale od początku brał potajemnie lekcje śpiewu u znakomitego pedagoga – Wacława Brzezińskiego oraz u słynnego tenora Tadeusza Leliwy. W 1923 r. miał swój pierwszy publiczny występ w Sali kina “Sfinks” w Sosnowcu, a w rok później zaangażował go Emil Młynarski do Opery Warszawskiej. Jednak

22-letni tenor zbytnio wierzył w swoje siły, popisywał się na scenie przeciągając partie solowe ponad miarę i nie zwracał uwagi na nikogo, nawet na dyrygenta, więc z konieczności odebrano mu pierwszą rolę – partię Jontka w “Halce” Moniuszki. Młody i przebojowy śpiewak nie zraził się tym, zaczął wkrótce występować we Lwowie i w Poznaniu, a w 1925 r. ponownie otrzymał angaż w Operze Stołecznej wraz z tytułową rolą w “Fauście” Charlesa Gounoda.



Jan Kiepura z żoną Martą Eggerth.



Cudze chwalicie, swego nie znacie – mówi stare, polskie porzekadło. I zwykle się sprawdza. Dopiero sława zdobyta poza krajem przynosi zainteresowanie i popularność w kraju. Tak też było z Janem Kiepurą. Rosnącą światową popularność zapoczątkował występ w "Tosce" w Operze Wiedeńskiej i to u boku słynnej primadonny Marii Jeritzy. Nie wiadomo czy to sentyment do Polaków (śpiewaczka była uczennicą Marceliny Sembrich-Kochańskiej) czy po prostu Maria Jeritza dostrzegła wielki talent młodego tenora i przekonała do niego dyrektora teatru, w każdym razie po wspólnym występie na deskach Staatsoper Kiepura został okrzyknięty "królem tenorów" i "następcą Carusa". Posypały się kontrakty i ciągle nowe propozycje występów na największych europejskich scenach, w

mediolańskiej La Scali, w londyńskiej Covent Garden, paryskiej Opera Comique, berlińskiej Operze Państwowej.

Był ceniony nie tylko za piękny i sprawny głos, ale także za zdolności aktorskie, dobrą prezencję i emanującą z wykonywanej przez niego muzyki radości śpiewania. To wszystko spowodowało, że Kiepura zaczął też karierę jako gwiazdor filmowy. Role w filmie przyniosły mu jeszcze większą popularność i nie małe pieniądze. Współpracował najpierw z berlińską wytwórnią UFA, a potem w wytwórniami hollywoodzkimi. Wiele filmów powstawało z myślą o nim jako o aktorze, m.in. „Kocham wszystkie kobiety" Carla Lamaca czy „Pieśń dla Ciebie" Maurice'a Elvey'a. Grał też w takich filmach jak "Neapol – śpiewające miasto", "Pieśń nocy", Czar cyganerii", Kraina uśmiechu". Były to najczęściej pogodne historie miłosne. Piosenki z filmów szybko stawały się przebojami. Kiepura wychowany w duchu patriotycznym niemal w każdym filmie kręconym za granicą, jedną piosenkę wykonywał w języku polskim.



Jan Kiepura, gdziekolwiek się pojawił, wzbudzał sensację.

W 1937 roku Jan Kiepura ożenił się z wiedeńską śpiewaczką węgierskiego pochodzenia Martą Eggerth, która od tej pory towarzyszyła mu nie tylko na scenie, ale i w życiu.

W 1938 roku zadebiutował w Metropolitan Opera w Nowym Jorku rolą Rudolfa w "Cyganerii" Pucciniego. Potem śpiewał jeszcze na tej samej scenie w "Carmen" i w "Rigoletto". Po wybuchu II wojny światowej zerwał wszystkie kontrakty filmowe podpisane z niemieckimi wytwórniami. Zamieszkał w Stanach Zjednoczonych i wkrótce przyjął obywatelstwo tego kraju. Aby zamanifestować swój patriotyzm, pokazywał się w stroju Polaka

zesłanego na przymusowe roboty, oznaczonym literą „P”. Podczas wojny śpiewał żołnierzom na Linii Maginota i przeznaczył pieniądze z koncertu nowojorskiego na potrzeby walczącej Polski.

Rok 1944 to rok “Wesołej wdówki” F. Lehara i jej wielkiego sukcesu na Broadway’u. Jan Kiepura występuje w nim razem z żoną. Ponad 300 spektakli i ciągłe, niesłabnące zainteresowanie publiczności spowodowało, że Kiepurowie wyruszyli z operetką na turnee, najpierw do innych miast USA, a po wojnie do Europy, do Anglii, Francji, Włoch i Niemiec, śpiewając przy tym w czterech językach. To był największy i najsłynniejszy wspólny spektakl.



Jan Kiepura na niemieckiej pocztówce.



Jan Kiepura z żoną Marta Eggerth.

Po wojnie Kiepura kilkakrotnie przyjeżdżał do Polski – po raz pierwszy w 1958 roku. Ciągle śpiewał i do końca życia był pełen wigoru, młodzieńczej werwy i ciągle nowych pomysłów. Marzyła mu się rola Jontka z “Halki” w warszawskim Teatrze Wielkim, ta sama rola, którą debiutował i którą mu kiedyś odebrano. Prowadził też rozmowy na temat występów w polskiej telewizji. Oprócz kontynuowania kariery artystycznej zajął się handlem nieruchomościami na wielka skalę i z dużym sukcesem. Niestety, śmierć zaskoczyła go w wieku 64 lat. Dwa dni przed śmiercią

występował jeszcze z ogromnym sukcesem na koncercie polonijnym w Portchester. Zmarł nagle na atak serca przy telefonie 15 sierpnia 1966 roku w swoim mieszkaniu w Harrison pod Nowym Jorkiem, po otrzymaniu bardzo złej wiadomości od agenta finansowego. Jego życzeniem było być pochowanym w Warszawie. Pogrzeb Jana Kiepury 3 września 1966 roku stał się wielką defiladą tysięcy warszawiaków. Spoczął w Alei Zasłużonych na warszawskich Powązkach.

W piątek, 29 grudnia 2017 r. ukaże się wywiad z Martą Eggerth.

Jeden z największych przebojów Jana Kiepury (1902- 1966) „Brunetki, blondynki” Roberta Stolza z 1935 roku:

Belle Époque. Łańcut

i powozy.



Teresa Żurawska

Bogata, sielsko piękna Belle Époque. W stolicach Europy tętniło życie. Pospiesznie budowano miejskie pałace o wysokich i obszernych bramach wjazdowych, luksusowe hotele, solidne banki i instytucje użyteczności publicznej. Wzmagał się ruch uliczny. Stare, wąskie, zbyt ciasne szlaki komunikacyjne przebudowywano na szerokie arterie dla licznych pojazdów konnych i coraz częstszych automobili. Pruto dawne dzielnice Paryża, burzono niepotrzebne już wały obronne Wiednia.

Wypiętrzał się elegancki Budapeszt. Wokół zabytkowego centrum czeskiej Pragi dostawiano drogie hotele na wzór paryskich pałaców. W Warszawie powstawały wielkomiejskie Aleje Jerozolimskie. Budowlany rozmach i entuzjazm tworzenia ogarnął całą Europę. Wielkie stawały się miasta, wielkie były domy, wielkie w nich mieszkania, meble, przedmioty codziennego użytku, wielkie też myśli towarzyszyły ludziom nawet w godzinach rekreacji.

Życie w metropoliach miało szczególny smak, smak nowości, nęcących reklam, różnorodnych towarów pachnących egzotyką krajów kolonialnych. Urok wieczornych spotkań w operze, rautów i karnawałowych bali nieodmiennie towarzyszył porze jesienno-zimowej. Latem miasta stawały się męczące, duszne, mniej ludne. Życie towarzyskie europejskiego *high life'u* przenosiło się na wieś, do dworów i pałaców – rezydencji wiejskich, gdzie w rozległych plenerach angielskich parków spędzano czas na spacerach w powozach eleganckich, miękko resorowanych, wygodnych. Zdawały się być one dostosowane do wytwornych, długich sukien z tiurniurą, ściśniętych w pasie, opiętych w gorsie, eksponujących kobiecą sylwetkę. Gigantyczne kapelusze z pękami kwiatów romantycznie ocieniały delikatne, blade twarzyczki o naiwno-dziecięcych oczach. Czar kobiety, czar powozu, czar wiejskiej sielanki. Taką atmosferą tchnęło życie codzienne w rezydencji łańcuckiej, jednej z największych i najsłynniejszych w Europie pod koniec XIX i w pierwszej ćwierci

XX wieku.



Dzisiejszy Łańcut – niewielkie miasteczko (około 15 tys. mieszkańców) położone w południowej Polsce, przy ważnym szlaku turystycznym i międzynarodowej trasie E4, odległy jest od Warszawy o 340 km na południe, od Krakowa – 175 km na wschód.

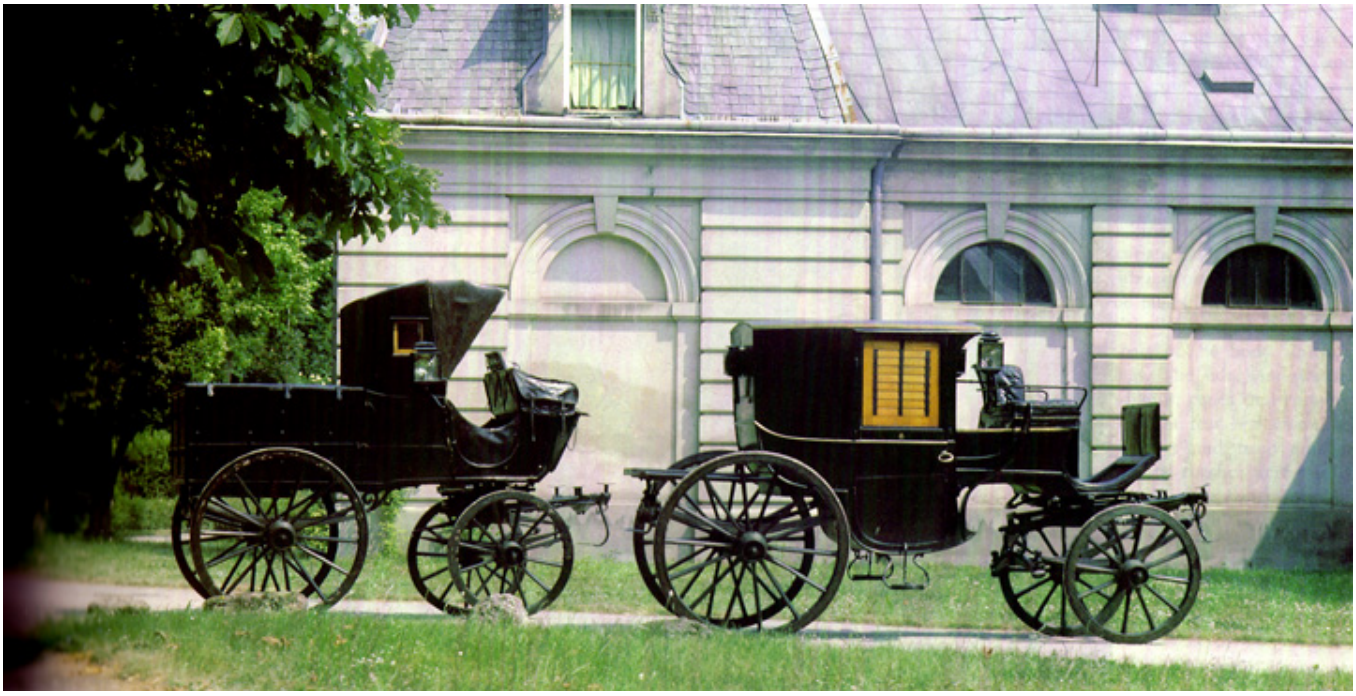
Wzniesiono tu w XVII wieku fortyfikowany zamek, z czasem powiększony, rozbudowany i przekształcony na pełną rozmachu siedzibę otoczoną parkiem. Była ona własnością dwóch słynnych

rodów arystokratycznych w Polsce: książąt Lubomirskich (1623-1817) i hrabiów Potockich (1817-1944). Po działaniach drugiej wojny światowej, w 1944 roku, rezydencja stała się pierwszym muzeum w Polsce. Nosi obecnie oficjalną nazwę: Muzeum-Zamek w Łańcucie. Do Muzeum należy ogromny zamek-pałac z jego wnętrzami urządzonymi w stylu baroku, rokoko, klasycyzmu i powtórzonych w Belle Époque stylach historycznych oraz dawne stajnie budowany cugowe i powozownia z jej bezcennymi zbiorami.

Zamek otoczony jest znakomicie zachowanymi fortyfikacjami bastionowymi, w obrębie których znajduje się klasycystyczny budynek oranżerii, pawilon biblioteki zamkowej w stylu wiktoriańskim i część pomocniczo-gospodarcza pałacu. Całość tę otacza piękny, trzydziesto-hektarowy park z licznymi okazami rzadkich drzew i krzewów, ze słynną, już nie istniejącą, storczykarnią, kortami tenisowymi, ujeżdżalnią zimową, zameczkiem w stylu romantycznym i domem ogrodnika. Obecnie mieści się w nim szkoła muzyczna.

Nieopodal zamku, po drugiej stronie parku od południa, zbudowano w końcu XIX wieku dwa imponujące wielkością i szatą architektoniczną budynki przeznaczone dla koni i kolekcji pojazdów. Francuski architekt, Armand Bauquè, zaproszony do Łańcuta przez Romana Potockiego, ojca ostatniego ordynata, nadał budynkom charakter monumentalny w stylu francuskiego

klasycyzmu, z piętnem baroku i secesji. Budynek stajni wyjazdowych mógł pomieścić 49 koni pod wierzch i do zaprzęgów, używanych codziennie. W powozowni, podzielonej na dwie części: czarną i żółtą, przechowywano ponad 50 pojazdów sprawnych do użycia natychmiast i na każdą okazję.



Komplet podróżny, kareta dormeza i furgon bagażowy, Wiedeń, poł. XIX wieku, fot. Jerzy Jawczak.

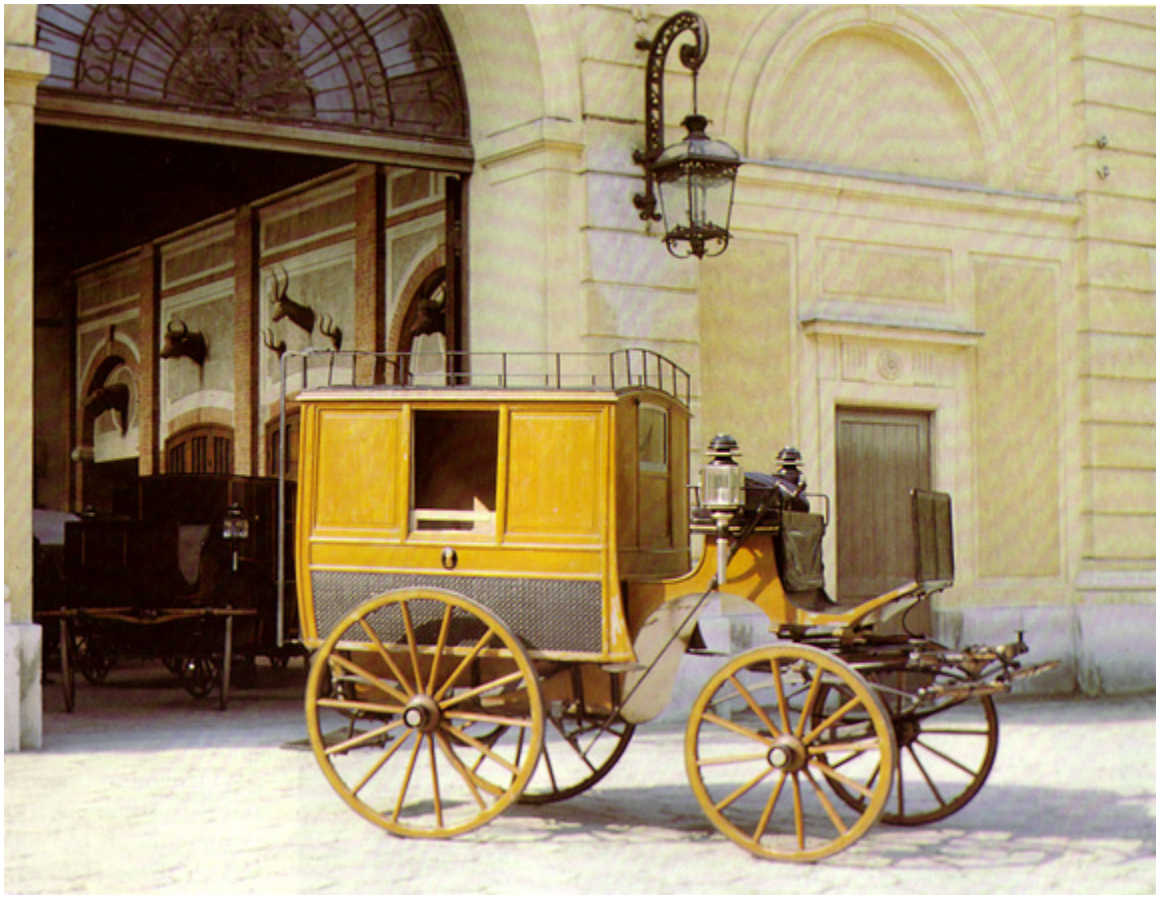
Powozownia zamkowa wraz z jej kolekcją pojazdów, pełnym wyposażeniem w urządzenia i akcesoria do zaprzęgów, stanowi dziś jedno z nielicznych tego rodzaju muzeów na świecie. Wszystko tu jest autentyczne i sprawne tak, jak było w Belle Époque. Jest unikatem w Europie.

Już wchodząc do hali zaprzęgowej zauważa się podłogę z

drewnianej kostki oraz z kamienia w tej części, gdzie umieszczono krany i baseny do mycia pojazdów. Ściany hali, udekorowane egzotycznymi trofeami z afrykańskich, kosztownych safari Alfreda Potockiego, stwarzają specyficzny klimat polowań charakterystycznych dla stylu życia w rezydencji łańcuckiej.

Przy wejściu do powozowni „czarnej" nastrój zmienia się na zobowiązująco-wytworny, wieczorowo-wyjazdowy z powodu znajdujących się tutaj reprezentacyjnych karet i najelegantszych powozów. Patrząc na wielką berlinę ozdobioną podwójnymi herbami Sanguszków i Potockich możemy wyobrazić sobie ceremonię zaślubin znanej pary właścicieli Łańcuta. Wszak Maria z Sanguszków słynęła ze swej urody i znakomitych kreacji, a także ze swych salonów w Wiedniu i Lwowie. Mąż jej, Alfred Józef Potocki, sterował polityką przez wiele lat będąc ministrem spraw zagranicznych, później premierem Austrii i namiestnikiem Galicji. Do tej pary małżeńskiej należała również druga berlina paradna, zawieszona na ośmiu resorach, z kryształowymi latarniami w srebrnych oprawach. Używali jej w Wiedniu, u dworu cesarskiego. Unikatowy komplet podróżny, składający się z karety sypial*nej „dormeuse",* zwanej *w* Polsce *„leżajką"* oraz furgonu bagażowego, służył im do dalekich podróży np. do Paryża. Trasę Łańcut – Paryż pokonywano w ciągu 17 dni. Była to w połowie XIX wieku najszybsza podróż po Europie. Można dodać, że również najwygodniejsza, ale i najdroższa. Komfortowe

wyposażenie karety w lustra, składane stoliczki, oświetlenie wewnętrzne, materace z safianu, schowki, żaluzje, firanki, kieszenie i poręcze dawało gwarancję wygody podczas długiej drogi. Najliczniejszą wszakże grupę stanowią wiedeńskie powozy i karety z późniejszej epoki, *fin de sicle'u*. Wszystkie resorowane, niektóre o kołach z gumowymi bandażami, co było nie tylko dowodem luksusu, lecz także nowoczesności. Przypominają bujne czasy karnawału, wieczorne wyjazdy do teatru, opery, na koncerty, bale, rauty i *assemblées.* Wśród powozów zwraca uwagę *calèche á la Daumont* z paryskiej fabryki Mühlbachera. Zadziwia ona elegancją kształtu i lekkością. Ten typ powozu uważano w XIX wieku za najwytworniejszy. Dlatego spełniał rolę reprezentacyjną. Do Łańcuta został sprowadzony koleją w 1923 roku, jako część spadku po Mikołaju Potockim, zamieszkałym stale we Francji. Po kilkakrotnym eksponowaniu go na wystawach lokomocji światowej w Paryżu, miał odegrać w Łańcucie najważniejszą rolę podczas oficjalnej wizyty księstwa Kentu w Polsce w 1937 roku. Pełen wytworności zaprzęg złożony z czwórki pięknych *hackney'ów*, powożonych z siodeł, stroje służby, paryska uprząż i niezwykłość scenerii do dzisiaj pozostały w pamięci najstarszych mieszkańców Łańcuta.



Omnibus sześcioosobowy, z bagażnikiem na dachu, Schustala, Wiedeń, ok. 1900 r., fot. Jerzy Jawczak.

Porzucając klimat podróży, reprezentacji i karnawałowych „obowiązków", przenieśmy się do powozowni „żółtej" w atmosferę polowań, spacerów i wiejskiej sielanki. A więc towarzyskie pikniki na polanach pachnących lasów, grzybobrania pełne przygód i posmaku hazardu, kosze rydzów, dzbanki malin, zapach poziomek i czarnych jagód.

Na te małe wypady jeżdżono dużym brekiem, bryczką, szarabanem lub *wagonette*. Na poranne przejażdżki bardziej odpowiednie były *kariolki, charette'ki, parkwageny, gigi i damskie duc'i*. Prezentowano kunszt powożenia prowadząc parę, trójkę czy czwórkę koni. Zmieniano style zaprzęgów, by pokazać

wysokie umiejętności panowania nad ognistymi rumakami.

Najwięcej emocji dostarczały jednak polskie polowania, które rozpoczynano wczesną jesienią, a kończono z pierwszymi chłodami zimy. Myśliwych i towarzyszące im odważne damy wieziono do lasu ogromnymi linijkami o podwójnych ławach *dos-a-dos,* przy których umocowane fuzje i torby na naboje dodawały szczególnego „uzbrojonego" wyglądu. W gruncie rzeczy te wielkie i ciężkie, wieloosobowe pojazdy z fabryki Schustala-Nesselsdorf w Czechach odznaczały się szczególną elegancją. Pozorne resory stojące stwarzały wrażenie luksusu swoją archaizowaną konstrukcją. Skórzane błotniki, tapicerowane materace kryte modnym wówczas „manchesterem" w kolorze piaskowym dawały wygodę jazdy. Specjalny daszek brezentowy osłaniał panie przed nadmiarem słońca. Lubiły towarzyszyć męskim rozrywkom, podziwiać odwagę i refleks, ale również zażywać własnych emocji. Najmilszą perspektywę zapewniał powrót z polowania, gdy w cieple kominka i zaciszu myśliwskiego pałacyku w Julinie rozprawiano o męstwie, ryzyku, pełnych grozy i napięcia scenach przeżytych w kniei.



Neseser podróżny w stylu biedermeier, Austria, XIX w, fot. Mariusz Widerynski.

Na wsi również balowano podczas „zielonego” karnawału. Te wieczory dostarczały najwięcej dreszczy spodziewanych konkiet serc w blasku księżyca i przy śpiewie słowików. Zjeżdżano się na wieczorki letnimi powozami, takimi jak: *vis-a-vis, sociable, mylord,* a w dni chłodniejsze kazano zaprzęgać konie do zamkniętych landoletów ogrzanych „szofretką”. W kameralnym, ciepłym wnętrzu karety dwoje przytulonych snuło balowe marzenia. Kołysały lekko resory na wyboistych, wiejskich drogach,

turkotały żelazne obręcze kół.

W niedzielne popołudnie chętnie wyprawiano się na partyjkę wista lub z wizytą. Porą dżdżystą i wietrzną dobrze było podróżować cabem francuskim. Wnętrze wprawdzie dość ciasne i powietrza w nim zbyt mało, ale od wiatru skutecznie chroniły składane szyby i klapa drewniana, podbita suknem. Podróżnych wszakże czekała mała niewygoda, bez pomocy służby nie wysiedli. Sygnałem porozumiewawczym ze stangretem byty pętle na ramię, gwizdki ustne i ręczne gruszki gumowe.

Gdy na wielkanocne święta zjeżdżali goście z bagażami i liczną służbą osobistą, wysyłano na dworzec kolejowy kilka karet lub powozów i omnibus. Kufry, walizy, nesesery podróżne ładowano na dach omnibusu, służba siadała do przestronnego wnętrza, a goście sadowili się w karetach. Przed pałac podjeżdżał sznur pojazdów, witano miłych przyjaciół i wśród gwaru, nawoływań, wykrzykników, powitań proszono do uprzednio przygotowanych pokoi gościnnych. Mieściły się one na drugim piętrze. Każdy otrzymywał swój apartament składający się z kilku pomieszczeń: salonu, sypialni, pokoju dla służby i łazienki. Właśnie zamek przeszedł modernizację, w czasie której zmieniono system ogrzewania z piecowego na wdmuchowe oraz założono trzydzieści sześć luksusowych pokoi kąpielowych z nowoczesnym systemem wodno-kanalizacyjnym. Ci goście nie musieli już przyjeżdżać z własnymi gumowymi wannami, jak to bywało

wcześniej, za czasów państwa namiestnikostwa. Poza obowiązującymi wspólnymi porami posiłków i zgromadzeniami na wieczorne salonowe rozmowy, koncerty i inne wspólne rozrywki, panowała duża dowolność zajęć. Dla miłośników książek i czasopism zagranicznych, wszelkich aktualności dostarczała biblioteka zamkowa, do dziś jedyna zachowana, prawie kompletna, wraz z urządzeniami, dawnymi meblami, rzadkim i wspaniałym księgozbiorem.



Kareta galowa berlina, Marker i Karasch, Wiedeń, I pol. XIX w. Na stopniach przy koźle data „1830” i monogram „H.W.”, fot. Jerzy Jawczak.



Powóz jesionowy typu „milord” , Polska XX wiek, fot. Jerzy Jawczak.

Zwolennicy sportów konnych mieli własne królestwo i prawdziwy raj. Do ich dyspozycji były piękne, wypielęgnowane wierzchowce ze stajni hrabiego, którymi codziennie przejeżdżano się cienistymi alejami do konnej jazdy. W dni chłodne i deszczowe gromadzono się w ujeżdżalni zimowej zażywając tam sportu konnego lub przyglądając się ujarzmianiu (końskiej) młodzieży. W wielkiej szorowni stajni cugowych, która *de facto* była salonem, rozprawiano później żywo o przygodach i wydarzeniach sportowego poranka. Kto nie jeździł wierzchem, mógł kazać zaprząc konia lub konie do pojazdu spacerowego, do bryczki lub gigu i zażywać spaceru samemu lub w towarzystwie, ze służbą lub samodzielnie dobierając pojazd odpowiedni do sytuacji. W każdej chwili zarówno pojazd, jak i konie, uprząż i służba była gotowa i stosownie ubrana. Paradne liberie przechowywano w pokojach służbowych mieszczących się przy powozowni. Tam każdy masztalerz miał swoje łóżko z czystą pościelą i angielskimi, wełnianymi kocami, toaletkę z umywalką i szafę z

liberią. Służba odpoczywała codziennie od godziny 11-tej do 14-tej, po zaobroczeniu koni. Po południu masztalerze i chłopcy stajenni zajmowali się czyszczeniem i porządkowaniem użytego sprzętu, pojazdów i uprzęży. Czas pracy trwał od 5-tej do 18-tej z trzygodzinną przerwą na posiłek i odpoczynek. Organizacja była doskonała, a stajnie i powozownia słynęły z porządku i czystości. Trzeba dodać, że o konie wierzchowe szczególnie dbano. Pielęgnacja ich była trudna, ponieważ każdy koń był strzyżony (wierzchowe inaczej, zaprzęgowe inaczej), kąpany, czyszczony do lśnienia i przykrywany deką letnią lub zimową, paradną lub codzienną. Uździenice, tręzle i uprząż także wymagały starania. Części skórzane nacierano natłuszczającymi, delikatnymi pastami sprowadzanymi z Anglii. Okucia metalowe czyszczono specjalnymi środkami w zależności od rodzaju metalu. W efekcie wszystko błyszczało i lśniło. Nic dziwnego, bowiem należało do obyczaju właścicieli zamku, że zwiedzanie stajni cugowych i powozowni przez przyjezdnych uważano za jedną z atrakcji rezydencji łańcuckiej.



Powóz sześcioosobowy zwany „Kongres Wiedeński”, Emberg i Glass, Wiedeń ok. 1800 r., data na stopniu 1833, i monogram „J.K.”. fot. Jerzy Jawczak.

Podziwiano stojące tam nieużywane już „wozy starożytne”, do których należał wspaniały „Kongres Wiedeński”, pamiętający czasy wesołego i tańcującego zjazdu monarchów Europy i ich dworów. Opowiadano konfidentnie słynne afery i romanse z czasów prababki, księżnej marszałkowej Lubomirskiej. Nikt nie śmiałby jednak popełnić niedyskrecji w stosunku do tej słynnej i niezwykłej postaci, małej ciałem, lecz wielkiej rozumem. Duch księżny Izabeli, biało-błękitnej damy, po dziś dzień jeszcze unosi się w atmosferze komnat i w powozowni, gdy zdaje się, iż przed chwilą wysiadła ze swojej muszelkowatej kariolki, którą jeździła dookoła fosy zamkowej.

Miała też i czym się pochwalić Elżbieta z Radziwiłłów Potocka, druga żona Romana, ojca ostatniego ordynata na Łańcucie. Oboje z mężem przecież uczynili tę rezydencję wielką i bogatą. Prowadzili prawdziwy europejski dwór pełen służby i gości. Kwitło w Łańcucie życie kulturalne ze wszystkimi jego urokami Belle Époque. Chyba najbardziej o tym świadczą owe wiedeńskie i paryskie powozy, karety, breki, szarabany zakupione przez tę gospodarną parę. Jest ich stosunkowo najwięcej. Romana Potockiego uznać powinniśmy za kolekcjonera pojazdów, bowiem zamawiał on nie tylko popularne typy pojazdów i karet, lecz także inspirował powstanie egzemplarzy unikalnych, takich jak powóz z odwróconym siedzeniem, *mylord* na ośmiu resorach, które sprezentował swej żonie.

W Polsce ordynat zamawiał sanie, bo gdzież je lepiej mogli wykonać niż w kraju, gdzie zimy z reguły bywają śnieżne. Sanie wyjazdowe, zwykle dwuosobowe z kozłem, posiadały wysoko wygięte śnieżniki i charakterystyczne odboje. Gruba baranica podszyta futrem niedźwiedzim lub kożuchem ogrzewała nogi najbardziej narażone na ziąb i bryłki lodu wykopywane spod kopyt koni. Długie futra, czapy i mufki zabezpieczały od mrozu. Ileż radości dostarczała szybka jazda w słoneczną pogodę, gdy śnieg skrzył się diamentowymi iskierkami, dziarsko parskały konie albo rozgwieżdżoną nocą przy blasku pochodni i dalekonośnym dźwięku janczarów.

Dzisiaj podziwiamy te eksponaty muzealne na kołach i płozach, czarne i żółte z jesionowego drewna, kolorowe w zestawie ciemnego brązu, mahoniu i jasnych części konstrukcji. Wypieszczone rękoma znakomitych majstrów, zmontowane w fabrykach Wiednia, Londynu i Paryża, świadczą dziś wymownie o minionych bezpowrotnie czasach, gdy w życiu mieszkańców łańcuckiego pałacu sytość, mnogość i najwyższa jakość szły w parze z niczym nie zakłóconym spokojem dnia codziennego.

Magiczna wigilijna noc



Joanna Sokołowska-Gwizdka

Każdy z nas nosi w sobie taką Wigilię, o której nie zapomni do końca życia. Każdy z nas pamięta zapach choinki, aromat zupy grzybowej, wyjątkowy smak karpia, te cudowne kolędy, które zawsze wzruszają, kolory bombek, lampek, skrzypiący śnieg pod nogami, ośnieżone dachy domów za oknem, wypatrywanie pierwszej gwiazdki, emocje prezentów, a przede wszystkim miłość najbliższych, którą sobie w tym dniu wyjątkowo uświadamiamy. Ten magiczny wieczór nadaje sens wszystkiemu co robimy, wszystko od niego jakby zaczyna się od nowa. Warto poświęcić czas i pracę, aby każda Wigilia była wyjątkowa, obojętnie pod jaką szerokością geograficzną się znajdujemy, bo

Święta Bożego Narodzenia to jeden z najpiękniejszych okresów w roku. Tradycje świąteczne wyniesione z domu rodzinnego są wspominane przecież przez całe życie. Nigdzie na świecie nie przyjmuje się Dzieciątka tak uroczyście, rodzinnie i tradycyjnie jak w Polsce. Wigilijna polska wieczerza jest czymś wyjątkowym. Ta postna kolacja, składająca się z tradycyjnych potraw, poprzedzona łamaniem się opłatkiem i składaniem sobie życzeń, zostawianie jednego nakrycia dla tych, co w drodze, i tych co na morzu, to nigdzie, poza Polską, nie spotykane obyczaje. Czynią tak tylko Polacy i to pod każdą szerokością geograficzną.

Jakaż była zdziwiona Helena Modrzejewska, po uczestniczeniu z mężem w Wigilii u znajomej katolickiej rodziny z Kalifornii. Wydawało jej się wówczas, że taka „nasza" Wigilia jest obecna w obrządku katolickim wszędzie na świecie. W liście do matki pisała rozczarowana, że głodni wyszli z Karolciem z tej wieczerzy, bo podali wątróbki kurze, indyka i trochę sałatek. Gospodyni była zdziwiona, obyczaju postnego nie znała i kolacja wigilijna tak zawsze wyglądała w jej rodzinie. No i o żadnym łamaniu się opłatkiem też nie słyszeli. Modrzejewska pisała dalej, że co to za dziwny obyczaj, ani życzeń, ani konceptów, tylko suche „Merry Christmas", na co się odpowiada „Merry Christmas to you" i to wszystko.

Nie ma chyba człowieka, który by takiego wigilijnego ciepła płynącego z uczuć nie potrzebował, są tylko tacy, którzy takiego

nastroju nie znają. Te obyczaje, obrzędy i bardzo w polskiej kulturze zakorzeniona tradycja chrześcijańska, są formą wyrazu u nas taką, a nie inną. We Francji np. wieczór wigilijny spędza się na wesołej zabawie w restauracjach, lokalach i domach, podobnie, jak u nas na Sylwestra. Wieczór ten nazywa się *Reveillon* (reveiller-obudzić) i oznacza każdą ucztę o północy w przeddzień jakiegoś święta. W Polskiej Wigilii po okresie Adwentu, wyciszenia i skupienia w oczekiwaniu na przyjście Chrystusa i ograniczeniu łakomstwa, chętnie gotuje się potrawy aromatyczne, wyjątkowe, niezwykłe, chociaż postne. A to niezwykle wzniosłe dzielenie się opłatkiem to konsekwencja adwentu – Wigilii i Świąt, a więc spełnieniem oczekiwania i błogosławieństwem.

Oto fragment „Not do dziennika” sprzed 100 lat Ignacego Serkowskiego, pracownika kasy ordynacji łańcuckiej hrabiego Romana Potockiego. Jest rok 1901.

> Wieczerza składa się, jak zwykle z tradycyjnych potraw, a więc barszcz z uszkami, szczupak po żydowsku, lin w galarecie, szczupak smażony, karp na szaro, szczupak zamiast okonia w sosie migdałowym, pierożki, soczewica, strudel, kutia, naturalne makowniki, wino itd. (…) Wieczerza przeszła nam nader przyjemnie, potem przeszliśmy do podarków, które wcześniej sam porozkładałem w swoim

> pokoju na łóżku. (…) Radości było wiele, potem oświeciliśmy drzewko i szopkę. Drzewko bardzo ładne, szopka ojcowska, jakby dopiero co zrobiona (z 1868 r.) prześlicznie wygląda. Z ojcowskiej kantyczki przekolędowało się za porządkiem wszystkie kolędy i to całe od początku do końca. Mój Boże, ileż to wspomnień miłych, rzewnych. Następnie przy herbacie zapaliłem ojcowskie cygaro, a trzeba wiedzieć, że od początku wrześnie do dziś nie paliłem.

W książce kucharskiej Antoniego Teslara „kuchmistrza ś.p. J.E. Namiestnika hr Andrzeja Potockiego w Krzeszowicach", wydanej w Krakowie w 1910 roku, wymienione jest menu wigilijne u rodziny Potockich:

> zupa migdałowa, *consomme* maltańska, krążki z ryby z chrzanem, szczupak – sos szafranowy, karp z sosem polskim, liny smażone – sałatka, kukurydza, *croc-en-bouche* (rodzaj zimnego deseru z lodami malinowymi, śmietanka i winogronami w karmelu, wszystko mrożone). Osobno przystawki: kanapki, kawior z plasterkami cytryny, śledzie, łamańce, kutia, mak. Ciasta: strucla zwykła, strucla drezdeńska, strucla z konfiturami, strucla z makiem, tort *marasquinowy,* tort makaronikowy, tort cacaowy.



W Polskiej tradycji wigilijnej liczba potraw powinna być nieparzysta, 13 na stołach magnackich, 11 u szlachty, 9 u mieszczaństwa. Książę Karol Radziwiłł z Nieświeża, zwany „Sierotką”, zapoczątkował zwyczaj, że wszystkie ryby liczymy jako jedno danie. Początek wieczoru wigilijnego z lat dzieciństwa opisał w „Pamiętnikach” Julian Ursyn Niemcewicz:

> A na stole: Trzy zupy, migdałowa z rodzynkami, barszcz z uszkami, grzybami i śledziem, kucja dla służących, krążki z chrzanem, karp do podlewy, szczupak z szafranem, placuszki z makiem i miodem, okonie z posiekanymi jajami i oliwą itd.

Jan Stanisław Bystroń w „Dziejach obyczajów w dawnej Polsce –

wiek XVI- XVIII” pisze:

> Uczta wigilijna ma charakter tradycyjnej i rodzinnej uroczystości, nie dziw więc, ze zachowano tu szereg odwiecznych zwyczajów, czasami dawniejszych aniżeli sama tradycja chrześcijańska, która przed wiekami nasunęła się na dawne święto pogańskie.

Czasami nie zdajemy sobie sprawy z pochodzenia pewnych obrzędów, w istocie zwykle jest tak, że różne zwyczaje i obyczaje wywodzące się z czasów pogańskich zmieniły swoje znaczenie na chrześcijańskie. To co ma związek z przyrodą, z rolą, plonami wywodzi się właśnie z obrzędów pogańskich. Tradycyjne potrawy Wigilijne, też mają agrarne źródło, gdyż spożywamy to co dają nam lasy, pola, łąki i wody, czyli zboża, owoce, mak, mód, grzyby i ryby. Najdawniejsze, wywodzące się z czasów przedchrześcijańskich zwyczaje, przechowywane są głównie wśród ludu. Pod koniec grudnia następował „powrót” Słońca. Naszym przodkom ta data była znana od wieków. Starożytne ludy Europy świętowały wtedy *Dies Solis Invicti* (Dzień Niezwyciężonego Słońca). Kalendarz chrześcijański także nie pomija tej daty, chociaż jej odpowiednik, Boże Narodzenie, do IV w. obchodzono dopiero 6 stycznia. Później, w IV wieku przeniesiono je na 25 grudnia i zostało wprowadzone do kalendarza Świąt Kościelnych. Wigilia natomiast, z jej

odrębnością i obrzędowością pojawiła się dopiero 200 lat później.





W dawnej Polsce okres świąt Bożego Narodzenia zwano również Godami. Trwały od Wigilii (24 grudnia) do Trzech Króli (6 stycznia). Gody były traktowane wyjątkowo. Łączył się z nimi dziwny dla nas obyczaj „oczyszczenia”. Miał on wymiar religijny i łączył się z przygotowaniem do przyjścia Chrystusa, a odbywał się właśnie w Wigilię. Była to po prostu zwykła kąpiel w beczce lub balii. W jednej wodzie kąpała się cała rodzina, począwszy od ojca rodziny, a na najmłodszym dziecku skończywszy. Dziwi nas teraz ten brak higieny, będący przyczyną różnych chorób, nie mniej jednak w średniowieczu i później jeszcze na początku

renesansu, ludzie wstydzili się swojego ciała, gdyż była to siedziba zła i pokus. Ciało zakrywano więc skrzętnie, a kąpiel była w tym pojęciu czynnością grzeszną. Przepisywał ją lekarz w przypadku choroby, no i stosowano ją właśnie w okresie świątecznym, na Gody, w Wigilię. Dzień Bożego Narodzenia przypada w okresie przesilenia zimowego. W wielu dawnych kulturach wyznaczało ono początek nowego roku i nowego cyklu wegetacyjnego.

> Przypuszczać należy, że w terminie tym obchodzono w czasach pogańskich dwa wielkie święta, a mianowicie agrarne, mające na celu utrzymanie wegetacji rolnej przez okres zimowy, i zaduszkowe, mające znów zadanie nawiązania kontaktu z duszami zmarłych. Wierzono bowiem, że dusze zmarłych przodków i krewnych mogą wspomóc działania ludzi i zapewnić dobre zbiory rolnikom, a pasterzom ochronić bydło i owce przed chorobami

– pisał Jan Bystroń, historyk i etnograf. W bożonarodzeniowych zwyczajach i obrzędach można odnaleźć więc symbolikę kontaktu z duszami bliskich zmarłych. Było to pozostawianie wolnego miejsca przy stole. Zwyczaje i obrzędy bożonarodzeniowe były praktykowane przede wszystkim wśród ludu, ale niektóre znała również szlachta i mieszczanie. Tak więc, zgodnie z tradycją ludową, Wigilia kończyła stary i

jednocześnie rozpoczynała nowy rok. Wierzono powszechnie, że ów dzień i noc są porą cudów, powrotem do czasów rajskiej szczęśliwości i obfitości. Najważniejsza tego dnia jest wieczerza, do której dawniej zasiadano wraz z ukazaniem się na niebie pierwszej gwiazdy. Działo się tak na pamiątkę Gwiazdy Betlejemskiej prowadzącej pasterzy do Betlejem. Wierzono, że w noc wigilijną woda w studniach na krótko zamienia się w miód albo wino, a w rzekach płynie srebro lub złoto. Jednak, jak głosiły różne podania i legendy opowiadane w długie zimowe wieczory, doświadczyć tego mogli tylko ludzie niewinni, szczęśliwi i odważni. Wierzono także, że tej nocy zwierzęta przemawiają ludzkim głosem. W niektórych regionach Polski nadal żywy jest zwyczaj obdzielania zwierząt resztkami jedzenia z kolacji wigilijnej i kolorowymi opłatkami (czerwonymi, żółtymi albo zielonymi). Bardzo często zapiekano w nich święcone zioła, aby chroniły bydło przed chorobami. Niezwykłość nadchodzącego czasu była również podkreślana przystrojeniem domu. Najczęściej – zarówno w chałupach chłopskich, jak i dworach szlacheckich czy magnackich pałacach używano w tym celu słomy, siana czy snopów zboża. Jeszcze w połowie lat 80-tych na zamojszczyźnie

> izbę wyścielano świeżą słomą. Miało to przypominać stajenkę. Pod pięknie wybielony lniany obrus kładziono sianko cienką warstwą i czerwone opłatki przeznaczone dla

> chudoby. W kącie stawiano snop żyta. Miał on tak stać do Nowego Roku, przyglądać się wszelkiemu dobrobytowi, wziąć go sobie do serca i wydać jeszcze obfitszy plon swoim gospodarzom, żeby przyszłe święta były jeszcze bogatsze.

Ze słomy wyciągniętej z bożonarodzeniowych snopków kręcono powrósła. Po wieczerzy wigilijnej gospodarze wychodzili do sadu i obwiązywali nimi drzewa owocowe, by nie marzły i lepiej rodziły. Z tych samych snopków robiono mniejsze wiązki i wtykano je w ziemię między zasiane oziminy, aby zboże lepiej rosło. W świątecznie przystrojonym wnętrzu domu nie mogło zabraknąć zimozielonych gałęzi uważanych za symbol życia, zdrowia, dobrobytu. Domy były ozdabiane gałęziami świerku, sosny lub jodły, przybijanymi do płotów, furtek, drzwi domów, wrót obór i stodół. W południowej i południowo-zachodniej Polsce przyjęła się charakterystyczna dla tych regionów forma bożonarodzeniowej dekoracji z gałęzi drzew iglastych. Była to najpiękniejsza, wybrana spośród kilku ściętych wczesnym wigilijnym rankiem, rozwidlona gałąź. Gospodyni i dorosłe córki ozdabiały ją jabłkami, orzechami, ciastkami, krążkami z opłatka, a gospodarz zawieszał go nad wigilijnym stołem.



Choinka, bez której nie wyobrażamy sobie świąt Bożego Narodzenia, przywędrowała do Polski z Niemiec na przełomie XVIII i XIX wieku. W pierwszej połowie XIX wieku ustawiano ją w domach mieszczan pochodzenia niemieckiego (głównie wśród ewangelików), potem przyjęła się również wśród polskiego mieszczaństwa i inteligencji. „Pod strzechy" dotarła dopiero w okresie międzywojennym. Na początku ozdabiano ją podobnie jak gałąź wieszaną nad stołem. Z czasem wzbogacono choinkową dekorację o własnoręcznie wykonywane łańcuchy z kolorowego papieru, dekorowane w różny sposób wydmuszki jaj czy współcześnie kupowane w sklepach bombki, „anielskie włosy" oraz elektryczne lampki. Zanim pojawiły się kolorowe, elektryczne lampki, to choinkę przyozdabiały m.in. kolorowe, małe świeczki, które umieszczało się w specjalnych, jak mawiano

w niektórych regionach „żabkach choinkowych”. Wykonywało się je w domu, lub w szkole, wykorzystując np. stare puszki, w których kiedyś było kakao. Ten metal nadawał się, gdyż był łatwy do obróbki, z uwagi na jego elastyczność. Dużo było radości przy wykonywaniu takich ozdób choinkowych. Dzisiaj najchętniej sięgamy po gotowe łańcuchy, bombki, pajączki. Pewnie to już nie jest to samo. Jak mówią starsi, tym ozdobom brakuje „duszy”, tego czegoś, niepowtarzalnego.

Bożonarodzeniową dekoracją znaną tylko w Polsce były ozdoby z opłatka. Mogły być białe albo kolorowe, płaskie wycinanki z opłatka lub trójwymiarowe kompozycje z elementów sklejanych śliną. Wieszano je u sufitu, ozdabiano gałęzie, albo dekorowano nimi choinki. Wszystkie świąteczne ozdoby nie były tylko dekoracją. Przede wszystkim miały chronić gospodarzy przed chorobami i nieszczęściami, zapewnić dostatek i harmonię, a także pomóc w przepowiadaniu nadchodzących wydarzeń. Taką rolę też spełniały źdźbła siana wyciągane podczas wieczerzy spod obrusa. Źdźbła zielone dla panien i kawalerów oznaczały ślub już w zbliżające się zapusty, łamiące się i poczerniałe staropanieństwo i starokawalerstwo. Pozostali biesiadnicy wróżyli sobie z ich wyglądu i długości o własnym zdrowiu i życiu. Wiele zwykłych czynności gospodarskich w Wigilię nabierało sensu magicznego. Wszelkie prace należało zakończyć do chwili pojawienia się pierwszej gwiazdy na niebie. Gospodarze szykowali więcej paszy dla zwierząt, rąbali na zapas drewno na

opał. Kobiety kończyły przyrządzanie potraw wigilijnych i na pozostałe dni świąt, ponieważ obowiązywał wtedy zakaz gotowania. Codzienne zajęcia nie mogły być wykonywane w nadchodzący niecodzienny czas święta. Niecierpliwie czekano pierwszej gwiazdy; gdy ta zajaśniała, zbierali się goście i dzieci, rodzice wychodzili z opłatkiem na talerzu, a każdy z obecnych, biorąc opłatek, obchodził wszystkich zebranych, nawet służących, i łamiąc go, powtarzał słowa: bodajbyśmy na przyszły rok łamali go ze sobą. Opłatek – przaśny, chlebowy placuszek, wypiekali „ludzie kościelni”.


TM



Nie w całej Polsce tak samo wyglądała kolacja wigilijna. Dla różnych regionów kraju charakterystyczne były różne i określone potrawy, a to co wszędzie było wspólne to powszechny zwyczaj, aby przed rozpoczęciem wieczerzy podzielić się ze wszystkimi opłatkiem, składając przy tym życzenia zdrowia i pomyślności. Zwyczaj ten przyjął się najpierw na dworach szlacheckich, a potem wśród reszty polskiego społeczeństwa. Powoli zwyczaj opłatkowy upowszechnił się wśród mieszkańców wsi, gdzie dzielono się opłatkiem również ze zwierzętami. Wierzono, że zwierzęta w tę jedyną noc, mówią ludzkim głosem, lecz biada człowiekowi, który ich rozmowy usłyszy. Przełamanie się

opłatkiem-chlebem to gest przyjaźni i dobrych intencji. To wstęp do wieczerzy. Do wigilijnego stołu zasiadać mogli tylko ludzie przyjaźnie do siebie nastawieni. Należało więc zawczasu pogodzić się z największym wrogiem, z najbardziej niemiłym krewniakiem, zwaśnionym sąsiadem, jeśli los nas z nim zetknął na czas Wigilii. Po skończonej wieczerzy można było porozmawiać, posłuchać dziwnych, strasznych i cudownych opowieści, wróżyć o urodzaju, pogodzie w nadchodzącym roku, zdrowiu i życiu czy małżeństwie, śpiewać pastorałki i kolędy. Następnie wręczano dzieciom prezenty gwiazdkowe. Jest to stosunkowo nowy zwyczaj, praktykowany od połowy XIX wieku, głównie wśród zamożnego mieszczaństwa, ale także wśród szlachty. Natomiast na wsi prezentami obdarowywano się tylko w najbogatszych rodzinach i były to najczęściej owoce, ciasteczka albo inne „słodkości". Od XIX w. prezenty składano pod choinką. Wcześniej – pozostawiano w izbach czy komnatach. Potem wyruszano na pasterkę. W domu zostawali tylko niedołężni starcy i małe dzieci. Każdy gospodarz starał się dotrzeć do kościoła jak najszybciej. Ci, którzy weszli pierwsi na nabożeństwo, mogli spodziewać się dobrych plonów i powodzenia we wszystkich pracach gospodarskich. Ludzie szli więc na Pasterkę pośród śniegu i nocy, budząc przy wyjściu drzewa w sadzie. Uderzano je kijem i rozbudzano krzykiem. Budzono także ule w obejściu. Wierzono, że tej nocy trzeba przyrodzie przypomnieć o życiu, trzeba ją zbudzić do życia.

Wesołych Świąt!

https://www.youtube.com/watch?v=ECGad0KFIdk

_____

Źródła: Teresa Fabijańska-Żurawska, Świąteczne wspomnienia, „Gazeta Łańcucka”, grudzień 1997, nr 12/51. Renata Hryń-Kuśmierek, Świąteczna powieść, „Wiedza i życie”, 12/1998.